

VII Obóz koncentracyjny Ravensbruck

1. Pobyt w obozie

Zaraz po przybyciu do obozu Ravensbruck postanowiłem pójść na rewir (obozowy szpital) z moją nogą, którą obtarłem podczas marszu przez góry Harzu. Kiedy zdjąłem rękaw koszuli, którym była owinięta noga, zrobiło to niemiłe wrażenie na pielęgniarzach (pielęgniarkach), bo jeden z nich powiedział:

– Nędznie, postaw go na wagę, jeżeli waży mniej niż 30 kg to do krematorium. Nie ma co zawracać głowy.

Chciałem uciec, nie puścili. Zważyli. Ważyłem chyba powyżej 33 kg, ale kiedy zajęli się czymś innym, uciekłem. Z powrotem zabandażowałem nogę swoją metodą.

Zastanawiałem się potem, skąd wzięli na rewirze wagę, tego nie spodziewałem się. Chyba ze wszystkimi tak postępowali.

Początkowo na apele przychodził komendant z Dory. Numery mieliśmy niezmienione, dlatego początkowo sądziliśmy, że jesteśmy odrębnym obozem Dory. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że należymy do KL Ravensbrück i mamy nadane inne numery. Otrzymałem numer 14 887. W końcu zaniechano apeli i nastąpiło ogólne rozprężenie.

Nasz obóz (były Jugendlager) składał się z 3 czy 4 bloków i rewiru. Przy wejściu była wartownia. Jak już wcześniej wspominałem wyposażenie bloków było żadne. Mieszkałem w baraku, w którym nie było w ogóle prycz. Ludzie spali na podłodze niesamowicie stłoczeni w dwóch warstwach. Każdy starał się tak położyć, aby głowę trzymać na wierzchu. Co noc paru słabszych zostawało zaduszonych. Prycze posiadali tylko funkcyjni (m.in. blokowi i sztubowi).

W moim bloku, blokowym był Niemiec z fioletowym trójkątem tzn. badacz pisma świętego (Świadek Jehowy), których to Niemcy zamykali w obozach. Zgodnie ze swoją religią był człowiekiem uczciwym. Gdy się zdenerwował na kogoś, to największym jego przekleństwem było: ty niedobry człowieku. W rzeczywistości blokiem rządzą zdegenerowani moralnie, funkcyjni z Dory, którzy nie oszczędzali na biciu więźniów. Trochę „odpuścili” swoście pojęty rygor, kiedy zaczęły nocą dochodzić odgłosy zbliżającego się frontu.

Wobec tego, że blokiem rządzą funkcyjni z Dory, dlatego przy wydawaniu zupy, tak oszczędzali na więźniach, żeby jak najwięcej zostało dla nich. Ludzie widząc, co się dzieje zaczęli kombinować, żeby zdobyć dodatkową porcję.

Wydawanie zupy przeprowadzane było następująco. Zaganiano wszystkich na blok, a w wejściu stawiano kotły z zupą. Wychodzący dostawał porcję zupy i pozostawał na zewnątrz, aż do zakończenia wydawania posiłków.

Przeważnie w tym czasie było ciepło i często pootwierane były okna. Co sprytniejsi zaczęli wskakiwać przez okno, żeby dostać drugą porcję. Taka operacja umniejszała ilość zupy funkcyjnym.

Kiedy zorientowali się, zaczęli obstawiać blok funkcyjnymi. To stwarzało większe niebezpieczeństwo. Nie mniej ludzie ryzykowali. Pewnego razu zaryzykował mój kolega Stasiak. Nie udało się - złapali. Chcieli powiesić na haku okiennicy. Bronilem jak mogłem, ale dostałem kopniaka i poleciałem na ziemię. Lecz włączyli się starzy więźniowie (nawet Niemcy) i wyrwali Staśka z rąk kapów. Zrobiło się zamieszanie. Kapowie wystraszyli się i uciekli. Ja korzystając z zamieszania wskoczyłem przez okno i zdobyłem dodatkową porcję zupy. Kiedy przybiegłem z zupą Stasiak siedział pod ścianą osłabiony.

– Stasiu mamy zupę - oddałem jemu całą porcję (już nie dzieliłem się, jak robiliśmy to poprzednio). Szczęśliwy byłem, że wszystko skończyło się pomyślnie. Stasiak zjadł zupę i poczuł się lepiej.

Kilka dni po przybyciu gruchnęła wiadomość, że mają wydać nam paczki Czerwonego Krzyża. Nie wierzyliśmy. A jednak stało się. Wydano paczki, jedną na dwóch i na blankiecie należało pokwitować. Kwitował tylko jeden. Stąd wniosek, że połowa paczek trafiła w inne ręce.

Otwierając paczki ludzie płakali ze szczęścia. Nie mogło dotrzeć do naszej świadomości, że znalazł się ktoś, kto pamięta o nas, nieszczęśnikach, zagubionych gdzieś w morzu hitlerowskiej grozy. Dlatego do dziś znak Czerwonego Krzyża wyzwała u mnie uczucie głęboko pojętej życzliwości ludzkiej. Chylę czoło przed działaczami tej organizacji.

W paczce Czerwonego Krzyża była puszka mleka w proszku. Marzeniem naszym było wypicie gorącego kubka mleka, stąd wynikła konieczność zdobycia wody. Już o 4 rano zbierali się ludzie koło suchych kranów, z których czasami pociekło trochę wody. Oczywiście robiono to ukradkiem. Nie daj Boże, żeby zobaczył to jakiś funkcyjny, wtedy głowy trzeszczały od uderzeń kijami.

Kto zdobył wodę starał się rozpalic małe ognisko, żeby zagotować mleko lub chociaż tylko nagrzać (kiedyś rozpalenie ogniska w obozie było nie do pomyslenia, ale jak wspomniałem, było już ogólne rozprężenie, stąd mniejsze zwracanie uwagi na takie incydenty).

Do rozpalania zbierano różne papiery i patyki, a nawet szyszki, gdyż w obozie rosły wysokie sosny. Ja znalazłem kawałek sosnowego korzenia. Żeby rozpalic postanowiłem odłupać parę kawałków drzazg nożem wykonanym w Dorze. Tak jakoś niefortunnie to robiłem, że kiedy oparłem korzeń o pierś i łupałem drzazgi ciągnąc nożem do siebie, nóż zemknął się i ugodził ostrzem w oko. Pocięła krew, a ja potwornie wystraszyłem się. Bałem się spojrzeć, czy widzę. Kiedy odsłoniłem ręką oko i stwierdziłem, że widzę opanowała mnie radość. Wszystko skończyło się dobrze, gdyż nóż wbił się w powiekę ponad gałkę oczną, a poniżej brwi. Na drugi dzień miałem tylko zapuchnięte oko. Za jakiś czas nie było śladu po zdarzeniu

Zastanawiałem się nad tym jak to się stało. Jestem ogólnie dokładnym i trudno posądzać mnie o tandeciarstwo. Chyba stało się to z ogólnego osłabienia.

Za parę dni zaczęto formować komanda do kopania rowów przeciwczołgowych. Ja także znalazłem się w tym komandzie. Budzono nas o 4 rano, formowano w komanda i prowadzono na stację

w Ravensbrück. Tam po dłuższym oczekiwaniu podstawiano pociąg. Jechaliśmy na północ przez Furstenberg, Neustrelitz, gdzie pewnego razu przeżyliśmy silne bombardowanie, do miejscowości Radlin, skąd pieszo udawaliśmy się do miejsca pracy, którą rozpoczynaliśmy między 9-10 godziną. Teren był lesisto-wydmowy poprzecinany rzeczkami i jeziorami. Pogoda była zmienna. Parę dni wiał niesamowicie zimny, huraganowy wiatr. Przeszywał wprost nas na wylot, pędził ostre ziarna piachu, które uszkadzały nam oczy. Wiele ludzi przeziębilo się. Między innymi mój kolega Staszek, u którego przeziębienie przerodziło się w gruźlicę płuc. Inne dni były ciepłe - pozwalało to na zażywanie świeżego powietrza i słońca. Praca była ciężka, szczególnie dla nas, którzy przeszli gehenną ewakuacji z Dory.

W ciągu dnia musieliśmy wykopać kawałek rowu długości łopaty. To była norma na dwóch. Wymiary rowu były następujące: szerokość: 3 m u góry, a w dole ok. 1 m; głębokość 2,5 m.

Zapowiedziano, że jeżeli ktoś nie wykona normy w założonym czasie, to zostanie, aż do zakończenia pracy, pomimo że wszyscy odejdą do obozu. Po zakończeniu zostaną zastrzeleni. Nie wierzyliśmy. Pierwszego dnia zostało 4 i więcej ich nie zobaczyliśmy. Na drugi dzień każdy starał się jak mógł. Wywiązała się nawet daleko idąca solidarność. Silniejsi pomagali słabszym.

Do obozu wracaliśmy późno, chyba po 21-ej. Dostawaliśmy wtedy zupę i chleb. Podczas pracy nic nie można było zdobyć do jedzenia, gdyż wiosną pola są jeszcze puste, za wyjątkiem ozimego rzepaku. Przez parę dni kopaliśmy na polach zasianych rzepakiem. Zorientowaliśmy się, że jeżeli łodygę rzepaku obedrzeć z włókna, to środek można zjeść. Posiada smak rzodkiewki. Rwanie rzepaku było ryzykowne, gdyż wachmani i kapowie za to mocno bili. Nie mniej wracając, większość miała za pazuchą schowanych trochę łodyg rzepaku. W końcu przestaliśmy jeździć na kopanie rowów. Zbliżał się front. Rozprężenie wśród wachmanów było znaczne. Dużo widziało się pijanych. Zaniechano apeli. Pod koniec kwietnia gruchnęła wiadomość, że obóz będą ewakuować. Rzeczywiście prawdopodobnie 22 kwietnia (lub 23) zaczęto tworzyć komanda po 500 osób i wyprowadzać z obozu. Ja nie spieszyłem się. Starałem się zostać na później. Słychać było odgłosy zbliżającego się frontu. A może wyzwolą? Noc przeszła spokojnie. Na drugi dzień rozpoczęto z powrotem ewakuację.

Rozprężenie w obozie było całkowite. Brak było wody, światła, nie wydawano posiłków. Trupów nie wynoszono do krematorium, a wrzucano do rowów kloacznych, jakie wykopane były w obozie ze względu na nieczynną kanalizację. Kiedy patrzyłem na tonące w fekaljach trupy, aż wstrząsało mną, brr..., lepsze chyba krematorium niż to.

Tego dnia postanowiliśmy iść ze Staszkiem na transport. Nie było po co czekać. Do tego obiecali, że przy wyjściu, wydawane będą paczki Czerwonego Krzyża. Tym razem uwierzyliśmy.

Ale do ewakuacji postanowiliśmy się przygotować. Jako harcerze musimy być zaradni, pokonywać trudności, nie poddawać się biernie losowi. W harcerstwie zdobyłem sprawność sobieradka

obozowego, zwiadowcę, pływaka i upragnione "trzy pióra", co nauczyło mnie radzenia sobie w terenie.

Dlatego postanowiliśmy zdobyć dobre buty, ubranie i koce. Troskliwie chronilem nóż, jaki jeszcze przywiozłem z Dory. Było to przedsięwzięcie bardzo ryzykowne, gdyż podczas ewakuacji z Dory, komendant transportu, wydał rozkaz, aby wszyscy, pod karą śmierci, noże zdali. W wagonach przeprowadzono rewizje. Pomimo ogromnego ryzyka nóż przechowałem. Na pewno przyda się bardzo podczas pieszej ewakuacji. Zadaniem numer jeden było zdobycie dobrych butów, gdyż musiałem uważać na nogę, pomimo że zagoiła się miejsce, gdzie była rana, pokryte było wyłącznie cienką delikatną skórką. Brak było tkanki mięsnej pokrywającej kość, przez co odczuwałem ogromny ucisk przy chodzeniu i ból. Dlatego nogę musiałem dobrze owijać szmatami. Metodą wymiany zdobyłem względnie dobre drewniaki. Z rozbitej Kleiderkammer wyciągnięto różne koce kołdry oraz część ubrań. Większość więźniów rzuciła się na kołdry. Ja, jako doświadczony "ewakuant" (była to moja trzecia większa ewakuacja) uważałem, że kołdra w warunkach ewakuacji może okazać się mało przydatną. Po pierwsze trudno ją nieść, a po drugie, w warunkach deszczu chłonie ogromne ilości wody, przez co nie nadaje się do okrycia.

Ja postanowiłem (na nas dwóch) zdobyć dwa koce. Jeden gruby do okrycia, drugi cienki do ewentualnego zbudowania namiotu. Grubszy koc i dwie kamizelki zdobyłem w Kleiderkammerze, natomiast cienki koc wyjątkowo nadający się na namiot wyciągnąłem z łóżka jednego z kapo (oczywiście z ogromnym ryzykiem), który posiadał więcej koców. Zrolowane i przewieszane przez ramię koce, dawały nam swobodę marszu. Na końcu zrolowanego koca przywiązana była puszka od konserw stanowiąca naszą menażkę. Tak przygotowani, przyłączyliśmy się po południu do jednej z "pięćsetek", celem wymarszu.

Zaraz za bramą wydarzyło się nieprzyjemne zdarzenie.

Kiedy staliśmy czekając na wymarsz następnej "pięćsetki", przejeżdżał w tym czasie wóz konny powożony przez esesmana. Na platformie był obiad w termosach dla wachmanów. Zapach tak podziałał na wszystkich, że rzucili się na wóz. Wachman powożący bronił, jak mógł, bił batem na wszystkie strony. W końcu wóz pod naporem ciał ludzkich przewrócił się, wachman spadł, posypały się termosy na ziemię. W miejscu, gdzie był wóz widać było tylko kłębowisko ciał ludzkich. Ja też dopchnąłem się do termosu. Nie było czasu na odwiązywanie menażki. Szybko zaczerpnąłem pełną czapkę zupy. Nim nadbiegli inni wachmani, było już po wszystkim. Kolumna stała w porządku, tylko po zabrudzonych ubraniach, rękach i twarzach można było poznać, kto brał w tym udział. Paru, którzy nawinęli się wachmanowi na oczy zostało zbitych kolbami i skopanych.

Nastąpiła ogromna cisza. Co będzie dalej? Z wrzasków esesmanów łapaliśmy słowa: wystrzelać te bandę. Po kilkunastu minutach zaczęto gnać nas kolbami z powrotem do obozu. Widzieliśmy, że szykuje się coś niedobrego. Na wieżach wartowniczych wzmocniono posterunki, dając dodatkowe

karabiny maszynowe. Chyba zechcą nas zlikwidować - chodziły myśli po głowie. A wszystko przez tę cholerną zupę.

Zaczęliśmy się rozglądać, gdzie można było by się schować w razie strzelaniny. Ci co nie byli jeszcze za bramą, nie zdawali sobie sprawy z grozy sytuacji. Nie znalazłszy możliwości schowania się, doszliśmy do wniosku, że jedyny ratunek, o ile nie dostaniemy pierwsi, osłaniać się ciałami zabitych.

Zmęczeni wrażeniami położyliśmy się spać. Co jakiś czas budziliśmy się nasłuchując. Wokół obozu była cisza, tylko z daleka dochodził huk dział zbliżającego się frontu. Jak jeszcze długo - nasuwała się myśl. Noc przeszła spokojnie.

2. Ewakuacja z Ravensbrück

Rano zaczęto z powrotem formować "500-ki" i wyprowadzać z obozu. Wymarsz odbywał się sprawnie i bez zakłóceń. Za obozem wydano nam paczki Czerwonego Krzyża. Potem kolumna ruszyła w spokoju na Furstenberg. Parę kilometrów za miastem kolumnę zatrzymano na krótki odpoczynek. Przeliczono jeszcze raz. Wszystko odbywało się w ciszy. Wyraźnie widać było, że zbliżający się front naganiał wachmanom wyjątkowego stracha. Wyglądali na przygnębionych, nie krzyczeli, rozmawiali raczej półgłosem i gdy usłyszeli jakiś większy szmer w szeregach, uciszali wołając: ruhe!

Ruszyliśmy dalej w pośpiechu. Już zaczął zapadać zmrok, a myśmy ciągle maszerowali. Przed północą zatrzymaliśmy się na wzgórzu porośniętym jeżynami. Trudno było mówić o zbudowaniu namiotu i o jakimś wygodnym spaniu - wszędzie kuło. Niektórzy rozpalili ogniska i grzali się wraz z wachmanami. Noc była chłodna. Rano uformowano kolumnę i ruszono dalej.

Po przejściu paru kilometrów skręciliśmy w polną drogę przez las. Wachmani nieco uspokoili się. Po pewnym czasie zatrzymaliśmy się na dłuższy odpoczynek. Następnie ruszyliśmy w dalszą drogę. Po przejściu kolejnych kilku kilometrów, znowu wyszliśmy na szosę zapchaną uciekinierami. Marsz był utrudniony. Kolumna rozciągnęła się znacznie. Na dodatek pod wieczór zaczął padać deszcz. Jeszcze bardziej utrudniło to marsz nie tylko nam, ale i wachmanom. Kiedy zaczęło się ściemniać, zapędzono nas do przydrożnego lasu na nocleg.

Postanowiliśmy ze Staśkiem przygotować dobre legowisko. Rozciągnąłem między drzewami drut, który znalazłem po drodze (prawdopodobnie ze zniszczonych linii telefonicznych). Na drucie zawiesiłem cienki koc, a brzegi koca przymocowałem do ziemi za pomocą kołeczków wyciętych z gałęzi. W ten sposób powstał zupełnie przyzwoity namiot na dwie osoby.

Ze względu na mżawkę, trudno było rozpaścić ognisko. Ale kiedy zorientowałem się, że w pobliżu rosną modrzewie postanowiłem wskrzesić ogień. Miałem już leśne doświadczenie i wiedziałem, że modrzew nawet mokry pali się. Udało się. Ognisko rozpaliliśmy. Kiedy płomień stał się dość znaczny, zaczęli schodzić się do nas inni więźniowie, aby trochę ogrzać się lub ugotować wody, do której sypało się mleko w proszku, otrzymane w paczce Czerwonego Krzyża.

Do ogniska przyszedł również wachman, który z tej strony miał nas pilnować. Ciepło płomieni tak go „rozbroiło”, że w końcu usiadł, a następnie wcisnął się do mojego namiotu. Byłem z tego powodu cholernie niezadowolony. Nie po to kombinowałem koc w obozie, niosłem podczas drogi, a następnie budowałem namiot, żeby wachman mógł się w nim byczyć uciawszy sobie niezłą drzemkę. Na szczęście po paru godzinach przyszedł drugi wachman, obudził go, kazał iść do bazy, a sam poszedł na skraj lasu pełnić służbę wartowniczą.

Ucieszyliśmy się ze Staśkiem z tego powodu i sami weszliśmy do namiotu. Ze zmęczenia zapadaliśmy szybko w sen. Pobudkę zarządził bardzo wcześnie. Dopiero następował świt. Zwinąłem namiot, wszystko spakowałem i przygotowałem się do marszu.

Moje przewidywanie co do kołder było słuszne. Ci co je mieli, porzucili je ponieważ przez noc nasiąknęły wodą i nie sposób było je dalej nieść.

Uformowano kolumnę, która ruszyła w dalszą drogę.

W zawierusze wojennej wraz z pięcioma kolegami odłączyliśmy się od komanda. Szliśmy szosą wraz z ludnością niemiecką, która uciekała przed nawałą Armii Czerwonej. Przerażenie w oczach kobiet, płacz dzieci, wózki z dobytkiem, to był typowy obraz exodusu. Gdzieś w tłumie szli żołnierze z rozbitych jednostek. W całym zamieszaniu nikt na nas nie zwracał uwagi. Nie mniej czuliśmy się już bardzo zmęczeni i postanowiliśmy odpocząć. Miejscem odpoczynku mógł być tylko gęsty las. Właśnie dochodziliśmy do takiego sosnowo-świerkowego, który rozciągał się w pobliżu szosy. Po wejściu, każdy wybrał odpowiednią kryjówkę. Ja ulokowałem się pod niskim rozłożystym świerkiem, który dawał dobre schronienie. Lekko się zdrzemnąłem. Po jakimś czasie obudził mnie szelest gałęzi z przeciwnej strony drzewa. Z trwogą nasłuchiwałem i wytrzeszczałem oczy, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Nagle zobaczyłem wojskową furażerkę i dwoje oczu wlepionych we mnie.

Zdrętwiałem. Nie wiedziałem co robić. Uciekać? Zostać? Nagle usłyszałem przyciszony głos.

– Was machst du hier? (co robisz tutaj)

– Odpoczywam, jestem bardzo zmęczony - odpowiedziałem.

– Ja także - odpowiedział

Ale nadal spoglądał na mnie z zaciekawieniem. Być może budził zainteresowanie mój pasiak.

– Kto ty jesteś - zapytał.

– A ty? - na pytanie odpowiedziałem pytaniem.

– Ich bin deserteur.

– Ich bin häftling - odpowiedziałem.

Widocznie moja odpowiedź usatysfakcjonowała go, gdyż momentalnie usnął. Mnie natomiast obecność jego nie satysfakcjonowała i nie prowokowała do snu. Więzień z dezerterem, niezłe towarzystwo. Złapią, rozstrzelają na pewno – rozmyślałem.

Postanowiłem odszukać kolegów i z nimi porozmawiać. Odszukałem. Zaczęliśmy dyskutować. Różne były propozycje.

- Jak śpi, to nie przeszkadza,
- Może trochę odpoczniemy i pójdziemy dalej,
- Do wieczora jeszcze daleko. Prawdę mówiąc nie chciało nam się ruszać.

Wątpliwości nasze zostały przerwane łoskotem silników samochodowych, jaki usłyszeliśmy w głębi lasu.

Do lasu wjeżdżało wojsko. W tej sytuacji legowisko nasze należało szybko opuścić. W którą stronę? W głąb lasu? - obawialiśmy się natknąć na żołnierzy. Postanowiliśmy wyjść na szosę i wmieszać się w tłum uciekinierów. Wyszliśmy na skraj lasu, który rozciągał się jakieś 20-30 m od szosy i czekaliśmy na dobrą okazję, aby się włączyć. Kilkanaście metrów od nas siedziała grupa Niemców - uciekinierów.

Zauważyliśmy, że po drugiej stronie kolumny wozów jadących szosą, pędzą kolumnę więźniów.

W tej sytuacji musieliśmy odczekać. Byliśmy święcie przekonani, że kolumna już przeszła i nieznacznie wychyliliśmy się z krzaków. Nie zauważyliśmy jednak, że biegnie do nas kapo z kijem. O ucieczce nie było mowy, gdyż zaraz za kapo biegł wachman. Kapo zobaczył, że jesteśmy z polskimi „winklami” i wrzeszczał do nas po polsku:

– Co skurwysyny, zachciało wam się uciekać. Zaraz tu was załatwimy. Zaczęliśmy tłumaczyć, że nasz transport idzie z przodu. Myśmy zostali w tyle razem z wachmanem, który gdzieś jest tutaj. Jak trzeba dołączymy do was. Kapo spojrzał na nas wściekle, jednego zdzielił kijem:

- Zabierać się - wrzasnął. Właśnie dobiegł wachman:
- Aber schnell - wrzeszczał.

Wtem od szosy usłyszał wachman wołanie. Spojrzał, był przekonany, że jego wołają. Krzyknął do kapo, żeby nas przyprowadził i sam pobiegł w kierunku szosy. Kapo jeszcze raz zdzielił jednego z nas. To wywołało wściekłość kolegi Edwarda (jeżeli dobrze pamiętam pochodził ze Zduńskiej Woli, w naszej grupie najstarszy, miał około 40 lat, nazywaliśmy go Starym). Kolega poczuł się jak na wolności. Chwył leżący na ziemi kołek, rąbnął kapo przez łeb, aż zbutwiały kołek pękł. To wywołało naszą reakcję. Chwyłaliśmy gałęzie, kołki i waliliśmy w kapo. Ten zaczął uciekać w kierunku szosy. Kiedy odbiegł kilkanaście metrów, my rzuciliśmy się do ucieczki w kierunku lasu. Po przebiegnięciu kilkudziesięciu metrów, zaczęliśmy nasłuchiwać. Pogoni nie było. Zaczęliśmy się zastanawiać, czy dobrze zrobiliśmy. W obozie taki incydent był nie do pomyślenia. Kosztowałby życie nas i jeszcze paru zakładników. W zaistniałej sytuacji nie mieliśmy wyjścia. Coś trzeba było działać.

Coraz więcej nadjeżdżającego wojska do lasu zmusiło nas do powtórnego wyjścia na szosę. Znowu zauważyliśmy maszerującą kolumnę więźniów, ale tym razem byliśmy już ostrożniejsi. Doszliśmy do wniosku, że najbezpieczniej będzie poruszać się w odległości paruset metrów za kolumną. W razie wpadki będziemy tłumaczyć się, że doganiamy kolumnę, którą zgubiliśmy. Sprzyjał nam fakt, że niemieccy uciekinierzy mówili, że na trasie atakowały myśliwce amerykańskie, co spowodowało ogromne zamieszanie.

Poruszaliśmy się w kolumnie uciekinierów, utrzymując odległość wzrokową z kolumną więźniów.

Kiedy zatrzymano kolumnę więźniów na odpoczynek, myśmy także zalegli w rowie przydrożnym, czekając aż kolumna ruszy dalej. Smak wolności nie prowokował nas, aby dyskretnie włączyć się do kolumny. Ryzyko ogromne, ale wolność rozpierała nasze młodzieńcze piersi.

Kiedy kolumna ruszyła, ruszyliśmy także do przodu.

Doszliśmy do miejsca postoju uprzednio obserwowanej kolumny. Znajdowało się ono w terenowym wykopie. Prawdopodobnie pobierano z tego miejsca żwir. Jeszcze tliły się niedopalone ogniska, w których pieczono zdobyczne kartofle. Tak było w transportach. Każdy więzień kombinował, jak zdobyć pożywienie. Najczęściej zdobywało się kartofle, które należało upiec lub ugotować. Dlatego ten kto zdobył kartofle zbierał po drodze różne patyki i papiery na rozpalenie ogniska. Kiedy wachmani zapędzali do marszu nie zawsze zdążyło się wybrać wszystkie kartofle z popiołu. O tym wiedzieliśmy i kiedy dotarliśmy na miejsce postoju rzuciliśmy się do penetracji ognisk. Znaleźliśmy kilka ziemniaków. Radość nasza o mało nie zmieniła się w tragedię. Usłyszeliśmy w pewnym momencie ostrzegawcze wołanie z wozów uciekinierów:

– Achtung! achtung!

Kiedy spojrzeliśmy w kierunku wozów, zauważyliśmy, że biegnie do nas wachman z karabinem. Jedynym punktem do schronienia się była stojąca po środku wykopu pakamera. Rzuciliśmy się w jej kierunku. Wachman w kierunku nas. Zaczął nas pędzić wokół pakamery. Jak chciał strzelić chowaliśmy się za róg. Ale buda była na tyle mała, żeby ostatni mógł się skryć za róg budy, to pierwszy biegł prawie za plecami wachmana. Dwa razy strzelił, ale nie trafił. Robił zwroty w lewo, w prawo, ale my byliśmy sprytniejsi. Zresztą to była gra o życie.

Zorientował się w końcu, że nas nie dogoni i zaczął do nas strzelać przez budę. Szczęście, że strzelał na ukos i kule z naszej strony przebijały ścianę na wysokości łydek. Trudno było wytrzymać nerwowo, dlatego koledzy rzucili się do ucieczki w kierunku skarpy. Ja starałem się wyrzeć zza rogu na wachmana, czy nie zechce zmienić pozycji i nie zauważyłem ucieczki kolegów.

Pierwszy ucieczkę zauważył wachman, ruszył w pogoń za nimi. Wytworzyła się paradoksalna sytuacja, gdyż biegałem równoległe z wachmanem. On mnie nie widział, bo był zajęty strzelaniem do niech, lecz oni byli już na skarpie.

Zorientowałem się w krytycznej sytuacji i szybko cofnąłem się za budę. Bałem się, że może któryś z Niemców cywilów mnie wskaże. Ale nie. Wachman położył się na skarpie i zaczął ich ostrzeliwać z pozycji leżącej. Moi koledzy prawidłowo rozbiegli się po polu jak zajęce, a potem zaczęli się kierować w stronę szosy. Zmusiło to wachmana do zaprzestania ognia. Ja wyglądałem zza budy. Kiedy wachman wdrapał się na skarpe i poszedł za nimi, ja odczekawszy, wdrapałem się na skarpe i ruszyłem w kierunku niedalekiego lasu. Bałem się wracać na szosę do Niemców cywilów, którzy widzieli całe zdarzenie [...]. Zdyszany i zmęczony do granic wytrzymałości dobiegłem do lasu. Nie wiem jak długo leżałem, kiedy zobaczyłem stojącą nade mną starszą kobietę. Cos mówiła, ale nie rozumiałem.

Zagubienie grupy w nieznanym terenie działa deprymująco. Wyobraźnia moja pracowała w dwójnasób. Wszędzie słyszałem trzask gałęzi. Wydawało mi się że ktoś próbuje mnie podejść. Lecz na szczęście były to zwyczajne dźwięki przyrody, żyjącego lasu, jedynie w nienaturalny sposób wzmacniane przez moją wyobraźnię, mój nadszarpnięty stan psychiczny.

Po uspokojeniu się zacząłem analizować sytuację. Wiedziałem, że tamci uciekali w kierunku szosy i w grupie tej jest mój najbliższy kolega, który na pewno będzie przyhamowywał grupę, licząc, że ja dojdę. Wobec powyższego postanowiłem z powrotem wyjść na szosę i ruszyć do przodu na ewentualne ich spotkanie. Przewidywania moje były słuszne. Kolega grupę przyhamowywał i ku naszej radości pod wieczór spotkaliśmy się znowu. Wobec tego, że zbliżał się wieczór postanowiliśmy się zaszyć w pobliskim lesie. Przygotowaliśmy dobre legowiska z uschniętych liści i zasnęliśmy kamiennym snem po przebytych wydarzeniach.

Gdy obudziliśmy się, świeciło poranne słońce i pogoda zapowiadała się wspaniała. W legowiskach było ciepło i wokół panowała cisza. Od szosy dochodził tylko cichy gwar, co znaczyło, że szosa już żyła życiem uciekinierów wojennych.

Piękna pogoda i cisza wpłynęły dodatnio na nasze samopoczucie. Po prostu opanował nas relaks. Nieprędko wyszlibyśmy z legowisk, gdyby nie głód. Zastanawialiśmy się jak zdobyć jedzenie. Doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie wyjść na szosę i tam coś zorganizować z niemieckich wozów.

Wyszliśmy na szosę. Samopoczucie było dobre. Czuliśmy się jak na prawdziwej wolności. Przeszliśmy spokojnie parę kilometrów i coś nie coś zdobyliśmy do jedzenia. Tak byliśmy tym zajęci, że w ostatniej chwili zobaczyliśmy komando więźniarek pędzone przez wachmanów. Jeszcze bardziej zaczęliśmy się chować, żeby nikt nas nie zauważył.

Wozy uciekinierów w przeważającej większości miały zrobione prymitywne budy z płótna, co dawało im pewne zabezpieczenie przed deszczem. Nam z kolei dawało większą osłonę i łatwiej było schować się za nimi. Nie szliśmy w kupie, każdy wybrał jakiś „dobry” wóz, za którym można schować się bezpiecznie.

Nie mniej oczy naszych więźniarek były dociekliwe. Zauważyły:

– Patrzcie nasi chłopcy - powiedziały dwie dziewczyny wychylając się między wozami.

– Ciszej bądźcie, jeszcze ktoś usłyszy - zwróciliśmy im zdecydowaną uwagę.

– Co wy tu robicie, gdzie wasze komando? - pytały ciszej

– Nie możemy nadażyć, w dupie mamy komando, idziemy sobie sami - odpowiedział któryś, trochę ironizując.

– My też nie dajemy radę dalej iść, chyba popadamy, tak pędzą - odpowiedziały.

– To wiejcie tak jak my,

– A jak złapią?

– No to wybierajcie, co uważacie.

Dziewczęta zaczęły dyskutować ze sobą. Widzimy, że dołączyły jeszcze do nich inne. Nie zdawaliśmy sprawy jaki będzie z tego finał, który w konsekwencji niesamowicie nas zaskoczył.

– Cholera, patrz, co one wyprawiają - powiedział Stary.

Spojrzałem - zdębiałem. Dziewczęta jedna po drugiej zaczęły przebiegać na naszą stronę kołumny. Dobiegliśmy ze Starym do nich i mówimy:

– Nie tyle na raz. W takiej grupie nie mamy szans się schronić. Wszystkich nas wyłapią.

– Dla mnie wszystko jedno. Nie mam siły dalej iść - powiedziała jedna ze łzami w oczach.

Żal zrobiło się nam dziewcząt i mówimy:

– Chowajcie się pojedynczo za wozy i idźcie w pewnej odległości jedna za drugą. Idźcie za nami tak jak nasi chłopcy z tyłu.

Po zastanowieniu się, niektóre dziewczęta zaczęły z powrotem „wskakiwać” do komanda.

Kiedy trochę ochłonęliśmy, Stary spytał mnie

– Co robimy?

– A dużo ich zostało?

– Chyba ze trzy.

– To względnie. Trzeba będzie coś więcej zdobyć do jedzenia i jak napotkamy las, musimy tam się zaszyć. One naprawdę nie mają siły dalej iść.

Po przejściu kilkunastu kilometrów, napotkaliśmy gęsty las. Pomimo że niewiele zdobyliśmy pożywienia, postanowiliśmy się w nim zaszyć. Po pierwsze ciężko było dalej iść, po drugie mieliśmy obawę, że przed wieczorem możemy nie spotkać takiego lasu.

Zatrzymaliśmy się za krzakami najbliższymi szosy i zbieraliśmy po kolei chłopaków i dziewczęta, kierując w głąb lasu.

Okazało się że jest sześć dziewczyn, a nie trzy jak poprzednio sądziliśmy. Byliśmy zatrwożeni. Jak przechować 11-osobową grupę? Wprost niemożliwe żeby tak licznej grupy ktoś nie zauważył. Podjęliśmy decyzję ze Starym - na razie zadekować się, aby spokojnie spędzić noc i wypocząć, a

potem zobaczymy. Martwiło nas, że mamy mało pożywienia, gdyż dziewczęta nic nie miały. Po pierwsze pokazaliśmy dziewczętom, jak robić z liści legowiska. Wybierało się jakieś wgłębienie i w to miejsce zgarniało się liście. W tę stertę potem można było wcisnąć się i względnie ciepło przeno-cować. Wszyscy ochoczo wzięli się do szykowania legowisk.

Po wykonaniu legowiska postanowiliśmy zjeść. Kto co miał położył i równo podzieliliśmy na wszystkich. Ze Starym podeszliśmy na skraj lasu zorientować się w sytuacji. Niedaleko była wieś, a szosą niestrudzenie posuwała się masa uciekinierów.

– Wiesz co, a może zajrzelibyśmy do tej wsi, może dało by się coś zorganizować do jedzenia - powiedział Stary,

– Też tak myślałem - odrzekłem,

– No to zaraz wyruszmy, bo potem jak się ściemni to niebezpiecznie -powiedział,

– Dobrze, powiem tylko pozostałym.

Wy tłumaczyliśmy wszystkim o co chodzi. Będziemy starać się wrócić przed nocą, ale gdybyśmy się nie wyrobili, to wrócimy rano. W nocy iść niebezpiecznie - strzelają. Chociaż wszyscy zaakceptowali naszą propozycję, wiedząc że nie mamy nic do jedzenia, to widzieliśmy w ich oczach strach.

Podczas wejścia do wsi nie napotkaliśmy na żadne kłopoty. Zaszliśmy na podwórko jednego gospodarstwa. Pełno było wozów i uciekinierów pieszych.

Stodoła była otwarta. Zajrzeliśmy. W stodole zobaczyliśmy wozy uciekinierów i ludzi leżących pokotem na słomie. Chociaż nikt na razie nie zwracał na nas uwagi nie chcieliśmy za bardzo paradować po podwórku i położyliśmy się wśród uciekinierów obserwując uważnie teren. Obok nas stał wóz wojskowy - żołnierze spali, widocznie byli bardzo zmęczeni. Obok tego wozu stał wóz cywilny dobrze wyładowany. Tym wzbudził nasze zainteresowanie. Próbowałem pomacać, co tam się znajduje, ale trudno było, gdyż ciągle kręcili się ludzie. Trzeba było poczekać, aż się ściemni. Kiedy ściemniło się, ktoś zapalił naftową latarkę. Klęliśmy w duchu, ale nic nie mogliśmy zrobić. Po jakimś czasie latarka zgasła.

Ostrożnie wymacałem, że w worku znajdują się najprawdopodobniej kiełbasy. Rozciąłem nożem worek i rzeczywiście wyciągnąłem pęto kiełbasy. Dałem Staremu. Następnie drugi. Potem kawał słoniny solonej. Pakowaliśmy wszystko za kozułę (w ubraniach więziennych nie było kieszeni).

Tak zaopatrzeni myśleliśmy, jak stąd wydostać się. Dyskretnie odsunęliśmy się od tego wozu w kierunku wozu wojskowego. Z wojskowego wozu sterczały karabiny. Żołnierze spali kamiennym snem.

– Może nam by taki się przydał - powiedział Stary spoglądając na karabiny.

– Możemy spróbować.

Dyskretnie wyciągnąłem karabin i położyłem obok w słomie.

– Mam - powiedziałem

Już zbliżał się świt, chociaż było jeszcze szaro, ludzie zaczęli zbierać się do drogi.

– Bierzemy? - zapytałem się Starego, mając na uwadze karabin,

– Chyba tak - odrzekł.

Zacząłem przymierzać się, jak go schować. Spod płaszcza wystawała kolba. Źle, tak być nie może.

– Weź mój płaszcz, dłuższy - rzekł Stary.

Spróbowałem, rzeczywiście schował się. Postanowiliśmy dyskretnie wyjść.

Sprawa wzięcia karabinu była poronionym pomysłem. Po co to było? Czym kierowaliśmy się? Chyba jakiś instynkt partyzancki sprowokował nas do takiego działania. Tym samym stworzyliśmy dla siebie śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie dość, że byliśmy uciekinierami z obozu koncentracyjnego, to jeszcze do tego z bronią. Wyrok byłby jednoznaczny - rozstrzelanie. Żadnego usprawiedliwienia nie byłoby.

Wmieszaliśmy się, w wychodzących uciekinierów niemieckich i wyszliśmy ze stodoły. Na dworze było już widno. Od razu idąc przez pole skierowaliśmy się w kierunku leśnej kryjówki, gdzie pozostali nasi.

W pewnej odległości od zabudowań, zauważyliśmy kopiec z kartoflami. Kopiec był 10 m długi, w połowie wkopany, w połowie wystawał nad ziemią w kształcie nasypu. Z jednej strony rozgrzebany, widocznie brano z niego kartofle.

Postanowiliśmy nabrać jeszcze kartofli. Wobec tego, że ja miałem karabin, to usiadłem za kopcem, a Stary nabierał kartofli.

Siedząc za kopcem sprawdzałem sprawność karabinu. Stwierdziłem, że posiada amunicję, co mnie ucieszyło, gdyż broń bez amunicji nie przedstawiała żadnej wartości.

Kiedy tak siedziałem za kopcem rozmyślając nad sprawą karabinu, usłyszałem rozmowę niemiecką w miejscu, gdzie Stary brał kartofle. Wychyliłem się i zobaczyłem, że jakiś żołnierz zabiera Staremu kiełbasy. Był to młody chłopiec, bez broni z rozpiętym mundurem. Zdziwiło mnie to. Mając w ręku karabin podszedłem w ich kierunku. Początkowo żołnierz nie widział mnie. Kiedy spojrzał i zobaczył mnie z karabinem, odskoczył od Starego wystraszony.

– Nicht schiessen - krzyknął.

Nie trzymałem karabinu bezpośrednio skierowanego w jego kierunku, pomimo to go wystraszyłem. Tłumaczył się, że on tylko żartował, oddał nam kiełbasy i skierował się w kierunku zabudowań [...].

Wobec tego, że sytuacja wynikała niewesoła postanowiliśmy nie iść bezpośrednio w kierunku legowiska po otwartym terenie, lecz skierować się w prawo bliżej lasu.

Przeszliśmy już kawałek drogi, gdy usłyszeliśmy raptem serię z automatu od strony szosy, a ziemia koło nas zakurzyła się od pocisków.

– Padnij - krzyknąłem do Starego i sam rzuciłem się na ziemię.

Leżąc widziałem stojącego żołnierza, który coraz wysyłał serię w naszym kierunku. Sytuacja wytworzyła się wyjątkowo krytyczna, gdyż leżeliśmy na stoku zupełnie odkryci. Pociski to przed nami to za nami uderzały w ziemię.

– Strzelić do niego - pomyślałem. Ale żeby załadować karabin musiałbym trochę unieść się. Świst pocisków nad nami wgniatał nas w ziemię.

Przez zakurzone od piachu oczy, zobaczyłem że wreszcie przestał strzelać i opuścił automat. Ponieważ myśmy nie ruszali się, więc sądził że nas załatwił. Stał spokojnie patrząc w naszym kierunku.

Błyskawicznie obróciłem się na bok, załadowałem karabin i oddałem strzał. Żołnierz upadł na tyłek. Myślałem że dostał, ale nie. Zerwał się i szybko uciekał w kierunku zabudowań. Prawdopodobnie świst kuli tak na niego podziałał. To mnie ucieszyło, że na tym się tylko skończyło, gdyż żal było zrobić krzywdę sympatycznie wyglądającemu młodemu chłopcu.

Zerwaliśmy się i biegiem zaczęliśmy uciekać w kierunku lasu, oglądając się za siebie.

Kiedy wpadliśmy do lasu odetchnęliśmy z ulgą. Przez chwilę obserwowaliśmy tamten kierunek, ale nic się nie działo. To nas uspokoiło. Byliśmy również szczęśliwi, że podczas całego incydentu nie pogubiliśmy ani kiełbas ani ziemniaków.

Lasem postanowiliśmy dotrzeć do naszego legowiska. Po drodze natknęliśmy się na mały sączący się strumyk. Oprócz jadła znaleźliśmy i wodę, bez której dużo trudniej się obyć, niż bez jedzenia. Kiedy dotarliśmy do swoich, radości nie było końca. Denerwowali się naszą przedłużającą się nieobecnością, a kiedy usłyszeli strzały, po głowach kołatały się czarne myśli i rozterka co dalej począć.

Dopiero widok przyniesionych kiełbas i ziemniaków rozładował napiętą atmosferę. Nerwy poszły w zapomnienie a zwyciężyło łaknienie. Nie wiele brakowało a wszyscy by się rzucili na nasze trofea. Uspokoiłmi ich, a do tego wziąłem chłopaka i dziewczynę i zaprowadziłem do wcześniej napotkanego strumyka po wodę.

Rozpoczęło się gotowanie. Posiłek udał się wspaniale. Z rozkoszy jedzenia języki o mało nie poleciały nam do żołądków. Sytość wyzwoliła w nas rozleniwienie. Niektórzy zaszyli się w liściach i usnęli. Dziewczyny poszły do strumyka prać i myć się. Czuły się jak na wolności - w pełni nam ufając.

Ja tylko ze Starym spoglądaliśmy na siebie rozumiejąc beznadziejność naszej sytuacji.

Na następny posiłek zjedliśmy ostatnie kartofle i zaczęliśmy zastanawiać się, co robić dalej. Ze Starym zamierzaliśmy rankiem powtórzyć naszą eskapadę do kopca po ziemniaki. Lecz wywołało to

ogólny sprzeciw, bojąc się następstw podobnych do poprzednich, a może i jeszcze gorszych. Czas mijął spokojnie. Te nasze rozważania, co robić dalej, zostały dość szybko przerwane. Do lasu zaczęło wjeżdżać wojsko.

Nie było innego wyjścia jak tylko wyjść na szosę i włączyć się w kolumnę niemieckich uciekinierów. Jednak uprzednio w lesie pozostawiłem zagrzebany liśćmi karabin.

Idąc wraz z uciekinierami organizowaliśmy pożywienie z wozów. Tak doszliśmy do miejsca, gdzie ruch na szosie został zatrzymany. Nie znając przyczyny zaczęliśmy przesuwać się do przodu, aby zorientować się w sytuacji.

Zobaczyliśmy jezioro i wchodzący do niego kanał, nad którym był most. Przejście przez most było regulowane przez wojsko. Przepuszczano na zmianę to wojsko to uciekinierów. Aby sprawnie to się odbywało na moście z boku zrobiono podwyższenie w kształcie ambony, na której stał żołnierz z żandarmerii wojskowej z długim batem i popędzał jak było potrzeba.

Przy pomoście na jeziorze stał statek i zabierał uciekinierów, aby przewieźć ich na drugi brzeg. Postanowiliśmy się zabrać na ten statek, ale to się nie udało, bowiem na statek brano tylko kobiety i dzieci. Może i dobrze żeśmy się nie zabrali, bo gdy statek znajdował się na jeziorze, nadleciały dwa myśliwce amerykańskie i jeden z niedużej wysokości rzucił bombę. W statek nie trafił, ale prawdopodobnie uszkodził, bo rufa statku obniżyła się. Do tego do wody wpadło kilka osób. Marynarze ratowali je. W końcu statek zawrócił z powrotem.

W związku z tym wmieszaliśmy się w tłum, aby z nim przekroczyć most.

Kiedy najmniej spodziewaliśmy się jakiś nieprzyjemnych incydentów, doszedł do nas żołnierz, nieźle podpity, z pistoletem w ręku i zażądał od nas amerykańskich papierosów.

Ciekawe skąd wiedział, że dostaliśmy paczki Czerwonego Krzyża, w której była paczka papierosów. Część papierosów już wcześniej wymieniliśmy na chleb, po parę sztuk jeszcze mieliśmy.

Tłumaczyłem, że nie mamy, ale on był uparty i groził, że jak nie dostanie papierosów to nas wystrzela. Kazał podnieść ręce do góry i zaczął mnie przeszukiwać. Znalazł.

Zadowolony mówił, że zabierze nam wszystkim papierosy a także tę dziewczynę - wskazując na jedną z koleżanek. Kiedy zaczął przeszukiwać innych kolegów, powiedziałem do dziewczyn, że spróbuję go zagadać, a one niech uciekają. I tak się stało. Dziewczyny uciekły.

Kiedy tak zabierał nam papierosy, przechodził inny żołnierz i zorientowawszy się o co chodzi, skoczył do niego, wyrwał mu papierosy z ręki i zaczął wymyślać od różnych bandytów i złodziei. Tamten był tak zaskoczony agresją naszego obrońcy, że schował w końcu pistolet i cofał się przed nim, wrzeszcząc – ruhe!

Obrońca zebrał nas i powiedział chodźcie ze mną. Zaczęliśmy się razem z nim przepychać do przejścia przez most. Przeszliśmy. Za mostem było miasto, przez które należało przejść. Miasto to nazywało się Malchow.

Idąc przez miasto spotkaliśmy dwa patrole miejskiej żandarmerii, ale widząc że idziemy z żołnierzem, sądzili że jesteśmy z wachmanem. Nie zatrzymali.

Miasto było zatłoczone uciekinierami. Doszliśmy do szosy wylotowej, nie bardzo wiedząc w którym kierunku idziemy. Na szosie było pełno wozów i ludzi. Tak idąc nie zauważyliśmy, że przy szosie stoi duży patrol polowej żandarmerii. Spostreśliśmy, że dowódca nas zauważył, bo nie spuszcza z nas wzroku. Nie mamy wyjścia - idziemy. Kiedy doszliśmy zatrzymał żołnierza, a nam kazał iść dalej.

Okazało się, że patrol ten zabierał wszystkich maruderów z rozbitych oddziałów.

Odeszliśmy kilkadziesiąt metrów i zaczęliśmy zastanawiać się co robić dalej. Z nim przeszliśmy bezpiecznie miasto, bo żandarmi sądzili, że idziemy z wachmanem. Może i dalej nam by się przydał. A gdyby tak powiedzieć dowódcy, że nie możemy iść sami bez wachmana? To idź, najlepiej gadasz po niemiecku - powiedzieli koledzy. Poszedłem. Dowódca spojrzał na mnie i kolegów i jak gdyby stwierdził - a, sie sind häflingen. Machnął ręką na żołnierza i powiedział - weiter! weiter! I zajął się wyłapywaniem większej grupy żołnierzy z szeregu uciekinierów.

Poszliśmy dalej. Nasz obrońca był tak zadowolony, że aż uściśnął mnie za rękę. Idąc wyprzedzaliśmy wolno posuwające się wozy. Nasz obrońca zagadał jakąś dziewczynę na wozie i pozostał w tyle.

Szliśmy dalej. Wozy przeredziły się. Było spokojniej. W dali widać było las. Doszliśmy do wniosku, że jak dojdziemy do lasu, to zaszyjemy się w nim, tak że obrońca nie będzie nam potrzebny.

Nie zauważyliśmy, że z lewej strony podąża przez pole w kierunku szosy jakiś uzbrojony patrol. Wyraźnie zwracając na nas uwagę i przyspieszając kroku, aby zająć nam drogę. Myśmy też przyspieszyli. Oby jak najbliżej lasu, a potem biegiem. Nie udało się. Zaczęli krzyczeć - halt! - będziemy strzelać! Kiedy zarepetowali broń i przygotowali się do strzału, stanęliśmy. Do lasu było zbyt daleko, aby pod ogniem można było biec.

Dowódca doszedł i zapytał:

- Z jakiego obozu jesteście?
- Z Ravensbruck - odpowiedziałem,
- Dokąd idziecie? gdzie wasze komando?

Tłumaczyłem, jak mogłem, że podczas nalotu zgubiliśmy się i teraz chcemy dognać nasze komando.

Dowódca był wściekły.

- Wasze komando jest już w obozie, a wy idziecie na zachód. Nie chcieliście zatrzymać się na nasz rozkaz. Wystrzelam tę bandę. Do rowu ich.

Esesmani zaczęli wpychać nas do rowu.

Jeszcze tłumaczyłem jak mogłem, aż ten zdenerwował się i kazał jednemu z wachmanów zatkać mi czapką usta. Sytuacja stawała się krytyczna. Kiedy krzyknął przygotować broń i usłyszeliśmy trzask zamków to wydało mi się, że życie moje mogę odmierzać w sekundach.

W ostatniej chwili spojrzałem wzdłuż szosy i zobaczyłem, stojącego koło drzewa, naszego żołnierza obrońcę.

Wyrwałem czapkę z ust i krzyknąłem do dowódcy:

- Ale my jesteśmy z wachmanem,
- Gdzie jest wachman? - zapytał,
- Tam! - powiedziałem wskazując wzdłuż szosy,
- Komm! - krzyknął do żołnierza.

Ten schował się za drzewo. Ale kiedy dowódca krzyknął drugi raz, wyszedł i skierował się w kierunku nas.

Kiedy doszedł, stanąłem obok niego.

- Z jakiego obozu jesteś? - twardo zapytał
- Von Ravensbrück - szepnąłem
- Von Ravensbrück - odpowiedział
- Gut - po namyśle odpowiedział dowódca. Weźmiesz ich i zaprowadzisz przez las do obozu.
- Ale czy ja trafię? - zapytał żołnierz.

Myślałem że się wścieknę na niego. Mogliśmy pójść do lasu i wcale nie szukać obozu. Ale trudno. W napięciu czekałem co będzie.

Dowódca pomyślał, nareszcie zwrócił się do najstarszego wiekiem wachmana i powiedział:

- Zaprowadź ich do obozu, a jego na wartownię.

Szliśmy powoli. Starszy wachman był wyjątkowo kulturalnym człowiekiem. Mówił, nie spieszcie się, będziemy iść powoli.

Idąc rozmyślałem jak dowódca patrolu dał się wziąć na taki „cyrk”. Chyba już wszyscy są zmęczeni tym końcem wojny. W normalnych warunkach to niemożliwe. Najważniejsze, że żyjemy.

Minęliśmy las. Wyszliśmy na małe poletko, na którym zobaczyliśmy kopiec z kartoflami. Poprosiliśmy wachmana żeby pozwolił nabrać kartofli.

– Nabierzcie, ile tylko możecie, bo w obozie nie dają jeść - powiedział. Obładowani kartoflami doszliśmy do bramy obozu.

Wyszedł dowódca warty, uśmiechnięty i zaczął z nami rozmawiać.

– Jak się cieszę że trafiliście z powrotem do obozu. Chyba ciężko było? Tu odpoczniecie. Do pracy nie będziecie chodzić.

Ucieszyliśmy się, że trafiliśmy na dobrego człowieka. Jeszcze z nami trochę pogawędził, nareszcie krzyknął w kierunku wartowni:

– Sechs Mann mit knüppel! (Sześciu ludzi z kijami)

Wyskoczyło kilku dryblasów i taki łomot nam zrobiło, że nie wiedzieliśmy kiedy otworzyła się brama.

Oprzytomniałem dopiero pod ścianą jakiegoś bloku, kiedy leżałem z rozbitą głową. Wstałem i zacząłem szukać kolegów. Byliśmy wszyscy.

I tak znalazłem się w siódmym z kolei obozie koncentracyjnym Malchow.